

Fot. A. ŁOKAJ

Niewiele miast ucierpiało podczas wojny tyle co Leningrad. Otoczony przez hitlerowskie wojska, skazany przez faszystów na zagładę, trwał, broniąc im dostępu do swoich bram. „W najstraszniejszą zimę blokady 1941—1942 — notują kroniki — kiedy dobowy przydział chleba był czasowo obniżony do 12—25 dkg, stanęła komunikacja, zgasło światło, zamarzyły przewody wodociągowe, a mrozy dochodziły do minus 40 st. C”. Ciężkie ofiary ponieśli mieszkańcy miasta Lenina, ale dzięki swej woli, oporu i pomocy całego Kraju Rad odparli wojska niemieckie i fińskie. W 1943 roku blokada została przerwana, a w rok później faszystowskie oddziały poniosły na froncie leningradzkim zupełną klęskę. Żołnierze — leningradzcy walczyli odtąd na różnych frontach aż do pełnego zwycięstwa. Brali udział także w wyzwoleniu Rzeszowszczyzny.

Włodzimierz Saszonko bronił pod Leningradem dostojnie swego domu rodzinnego. Jego bateria walczyła bowiem pod Czerwonym Borem gdzie mieszkał przed wojną i gdzie pozostała jego matka. Po zwycięstwie na froncie leningradzkim jego 226 pułk moździerzy przerzuciono het, na pogranicze Czechosłowacji, skąd w grudniu 1944 roku trafił do Polski w rejon powiatu krośnieńskiego.

— Staliśmy w Zręcinie — mówi niemal czystą polszczyzną. Oczekiwaliśmy rozpoczęcia ofensywy i przygotowaliśmy się do niej, a wolny czas spędzaliśmy na rozmowach z naszymi polskimi gospodarzami; a tak się złożyło, że wypadła mi kwatery u organisty, podczas gdy nasz zastępca dowódcy do spraw politycznych kwaterywał u miejscowego proboszcza. Gościli nas zresztą wszyscy mieszkańcy wsi, obchodzący akurat święta, w każdym domu była choinka. Odważnialiśmy się czym tylko było można, zapraszaliśmy do siebie, do szkoły gdzie zorganizowaliśmy występy estradowe itp.

Na froncie było niby spokojnie, ale ludzie ginęli. Właśnie pod Zręcinem w rejonie Bud zginął nasz pierwszy żołnierz na ziemi polskiej, sanitariusz Misza Jefimow. Od wybuchu tego samego niemieckiego pocisku ranny został sierżant Kuskuszew. Kilku żołnierzy padło 31 grudnia, kiedy Niemcy otworzyli gwałtowny ogień na nasze pozycje. Także w Rzeszowskiem, ale już bliżej Gorlic zginął ulubieniec całego pułku starszy lejtnant Eugeniusz Popow. Wysoki, smukły, przystojny był duszą żołnierskiego zespołu artystycznego. W kraju czekała na niego matka, którą bardzo kochał i do której regularnie 3 razy w tygodniu pisał gorące listy. Pewnego dnia, kiedy Popow wraz z 6 żołnierzami znajdował się na wysuniętym punkcie obserwacyjnym, Niemcy ruszyli do kontrataku. Nasi żołnierze nie cofnęli się, ale bronili do ostatka. Kiedy hitlerowcy podeszli blisko, Popow wywołał ogień naszych baterii na siebie. Ogień ten zatrzymał i rozproszył natarcie hitlerowców, ale z naszych żołnierzy pozostało przy życiu tylko dwóch.

Wśród poległych znaleźliśmy starszego lejtnanta Popowa, który pośmiertnie odznaczony został Orderem Czerwonego Sztandaru.

W pobliżu styczeń 1945 pułk nasz uczestniczył w artyleryjskim przygotowaniu ofensywy, a następnie

ciola. To Niemcy, odchodząc zemieli się tak na tym mieście. Na szczęście nie udało im się powtórzyć tego gdzieś indziej. W czasie drogi z Jasła do Gorlic odwiedził nas dowódca Frontu gen. Iwan Pietrow, który z satysfakcją patrzył na nacierające

znalazła się w 1944 roku na północnych krańcach województwa rzeszowskiego, w rejonie Wysokiej Głogowskiej, Dęby a następnie Baranowa, skąd w styczniu 1945 roku ruszyła do natarcia w wielkiej ofensywie. Dywizja wyzwalała następ-

Spotkania po 20 latach

Z miasta nad Newą do miast nad Wisłą i Odrą

ruszył w pościg za odstupującym nieprzyjacielem. Szli więc wyzwalać Jasło i Gorlice nasi gwardziści, tacy jak świetny znawca moździerza, znakomity dowódca działonu Borys Smirnow, który potrafił pod niemieckim ogniem jeździć na rowerze od obsługi do obsługi, dodając tym otuchy kolegom (dziś jest nauczycielem, dyrektorem średniej szkoły w Parachino); jak Stepan Izotin, starszy 50-letni oficer, który nie krzyknął nigdy na nikogo, a którego żołnierze słuchali i rozumieli w lot; jak Włodzimierz Kulikow dowódca artyleryjskiego zwiadu pułku, łącznościowcy Kola Rakow i Paweł Podbalski czy telefonistka Olga Solonkina, która cały czas była na pierwszej linii, swoim rozsądkiem, spokojem i odwagą podtrzymywała kolegów w najcięższych sytuacjach.

Jasło było bardzo zniszczone, pamiętam ruiny wypalonych domów, sterczący kikut wieży jakiegoś ko-

wojska. Na kołach toczyły się nie tylko czołgi i artyleria. Także piechota niemal w całości jechała w pościgu na samochodach.

Przez Gorlice, za wyzwolenie których nasz pułk obok kilku innych jednostek otrzymał miano gorlickiego, przeszliśmy nocą. W krótki czas potem byliśmy w Nowym Sączu, skąd nacieraliśmy dalej na Bochnię, Kalwarię, Wadowice, Bielsko-Białą, Racibórz i dalej aż na tereny Czechosłowacji. Wasze województwo zobaczyliśmy już po wojnie, wracając przez Dębicę i Rzeszów do kraju.

Kolejne leningradzkie spotkanie zorganizowała mi Halina Sniegowaja, znana już naszym czytelnikom „wojenna chrestyna” małej Eugenii Siłka z Osieczyny pod Głogowem. Przybyli na nie żołnierze 60 pułku artylerii 92 dywizji piechoty, która

nie Miechów, Kraków, Sosnowiec, Katowice, walczyła pod Opolem i Nysą, forsowała Odrę pod Raciborzem. I oto siedzą przede mną: b. zastępca dowódcy pułku do spraw pol. wychow. Włodzimierz Leppik, b. dowódca 2 dywizjonu Michał Płotkan, Aleksander Gurienkow — b. dowódca baterii Mikołaj Szytkow organizator partyjny dywizjonu i Halina Sniegowaja.

— W Wysokiej Głogowskiej niedługo popasaliśmy — mówi Włodzimierz Leppik, obecnie kierownik jednego z przedsiębiorstw budowlanych w Leningradzie. Po kilku dniach, ledwie zdążyliśmy się zagospodarować i zaprzyjaźnić z miejscową ludnością, przyszedł rozkaz wymarszu. Wkrótce byliśmy w Baranowie, skąd przez most pontonowy przeszliśmy na drugi brzeg Wisły. 14 stycznia weszliśmy do akcji.

(Ciąg dalszy na str. 2)

WOJCIECH KAWIŃSKI

Dom

Wracać znów Po przebaczeniu
W progi wyschłe

gdzie pierwsza pleśń
Z ziemią się wiąże Stapać
Po własnych śladach Po śladach zwierząt
Roślin i małych żywołów

Osadza się na drewnie
Rdza Płonie zarys
Rodziny sprzędów
Kadłub niezgrabny
Naziemnego okrętu

tkwi jeszcze

Przypomnieć minione
Chociaż
Coraz ciemniejsza pamięć
To patrzeć elegii
Zbyt jaskrawe
Przekształcenia znaczeń
Tłumaczenie
Za wczesne
A szron matowiejący
Wyżej

wyżej sięga

Z tomiku „Odległości postuszne”, który ukazał się ostatnio nakładem PIW-u.

JÓZEF KURYLAK

★ ★ ★

nad twoją lampą pogasiły motyle
liście mych wierszy wiatry niosą coraz dalej
gdzie pod pułapem nocy przy gromnicach drwale
las otwarty jak kościół śpiewają na pile
niosą mnie wiatry dalej abym mógł zobaczyć
płochliwe cienie rąk twych podobne do ptaków
bo tam za mym dotykiem tylko ziemia płacze
i twój zegar dzwoniący jak maleńki kraków

W grudniu to było albo w styczniu, zaraz... Przybyłko dzisiaj twierdzi, że w lutym ubiegłego roku, no i dochodzi do kłótni, bo stary Kos upiera się przy swoim: „w grudniu”, powiada; Kosowa kręci głową: Gdzieby tam w grudniu — mówi — przypominam sobie, że w styczniu. Nie mogą dojść do porozumienia, sprzeczą się... Nikt jednak dokładnie nie pamięta, ponieważ od tego zdarzenia upłynęło sporo czasu, wiele pracowitych dni minęło: przeszła wiosna i lato, i jesień, ale jedno jest pewne i wszyscy się z tym zgadzają, że było to zimowa pora...

„Śnieg walił od kilku dni, nieba się nie widziało ani chmur na niebie, w powietrzu wirowały białe płatki i stary Kos zmartwiony był, że chałupę zasypie. — Nic się nie bój — uśmiechała się Kosowa. — Pan Bóg liściowy. — A co ma Pan Bóg do śniegu? — złościł się stary. — Co on poradzi? — Bardzo dużo — odpowiadała Kosowa. — Przecież Pan Bóg stworzył śnieg. — E... tam — mówił lekceważącym głosem stary Kos — gupias, śnieg to zamarnięte kropelki deszczu. — A ty skąd wiesz? — dziwiła się Kosowa. — Kto ci tak powiedział? — Wiem, czytałem przed wojną w gazecie — tłumaczył jej Kos. I tak sobie rozmawiali przygadując sobie nawzajem, aż wreszcie ostre słowa wyrwały się im z ust i harmider się wielki uczynił, no i Przybyłko, ich zięć, stuknął pięścią w stół. „Spokój” rzekł. „Matka niech kolebie dziecko, a ojciec niech coś opowiedzą, bo nudno”.

Ucichło. Stara podeszła do kółki, pochyliła się nad nią, nuciąc piskliwym głosem, stary zaś usiadł przy piecu, papieroska w wiśniowej lufce osadził i zaczął mówić: Za Austrii służyłem we wojsku, najjaśniejszy pan cesarz Franciszek Józef panował wówczas w Galicji, ale nie o tym chciałem rzec, tylko o takiej ziemie, co się dawniej przydarzyła za mojej pamięci, kiedy to śnieg wioski zasy-



Rys. A. JAKUBOWICZ

pał i wilki czekały pod drzwiami, a gdy jakiś człowiek wychylił łeb z chałupy, to mu go zaraz ucięły zębiskami... — tak mówił stary Kos, który niejedno w życiu widział, opowiadał więc długo i rozwlekle, a Przybyłko, jego zięć, jedynie głową kiwał, bo się zdrzemnął.

W ten sposób przeminął im ubiegły rok, tak właśnie przeszła zima, którą przesiedzieli przy piecu i przegadali, bo stary Kos wciąż opowiadał, Przybyłko spał, babka kołysała dziecko. No i dzień po-

dobny był do dnia jak dwie kropelki wody i wieczory powtarzały się zawsze tak samo, i wyglądało na to, że nic się nie zmieni, że już tak będzie, ale wiosną niespodziewanie przyjechali robotnicy i zaczęli kopać rowy przy drodze, a później, gdy rowy były już gotowe, powsadzali tam słupy, przywiązali do tych słupów jakieś druty i któregoś dnia weszli do nich na podwórze taki jeden we flanelowej koszuli, wody chciał się napić, bo zmęczony był i pot ciekł mu po twarzy, usiadł więc koło studni, a kiedy ugasił pragnienie, wtędy rzekł: Zaraz wyjeżdżamy, zrobiliśmy; macie elektryczność, chłopcy, i kupcie sobie telewizor na raty, bo zgłupiejecie doszczętnie, bo nudy was ogarna, bo zdziwienie w tych lasach jak wilki — zaśmiał się i poszedł, wsiał do samochodu, samochód zawarczał na drodze, odjechał, ale elektryczność została.

Dzisiaj cisza panuje w gajówce. Stary Kos już nie gędzi. Siedzi sobie spokojnie przy piecu, okulary poprawia na nosie i patrzy w srebrzysty ekran. „No, no — mówi — nawet nie wiedziałem, że takie cypate kobity w tej Warszawie, nawet nie wiedziałem, bo za moich czasów inne były we Wiedniu”.

Tak jest dzisiaj, tak jest w chwili obecnej, w zeszłym roku natomiast było całkiem inaczej... „Śnieg sypał od kilku dni, karpacki wiatr przyleciał z gór i wył za oknem jak wściekły pies, migotało światło naftowej lampy, żona Przybyłki leżała chora, stary Kos opowiadał o tej Austrii, co tu kiedyś była, Przybyłko drzemał, cichutko płakało dziecko i Kosowa pochyliła się nad nim, i szepnęła: Jeszcze mu się chce, daj mu mleka, córeczko!

Żona Przybyłki nie odpowiedziała. Jej znowu gorzej — mruknął Kos. — Pewnie gorzej, trzeba by po lekarza, ale jak wydośćać się z tych lasów, śnieg zawalił drogę, czy tu w ogóle dojedzie?... — Chyba koniem.

— Ale czy on zechce koniem?... — Nie wiem — rzekła Kosowa. Cichutko płakało dziecko. Potem zaczęło płakać głośniej. Kosowa podeszła do łóżka. „Zbudź się, córeczko — mówią. — Trzeba małego nakarmić, trzeba mu dać mleka”. Tamta nie odpowiadała, oczymiała wciąż przymknięte. Kosowa jęknęła: O Boże mój, ona rozpalona, ona cała w gorączce... Kos zbliżył się do zięcia. „Synku — powiedział — żona chora, trzeba iść do miasta”. „Przybyłko ocknął

Przybyłko głową kiwa, bo zaspal trochę i łeb sam mu opada na pierś; jego żona karmi dziecko, które uciszyło się nagle; ciemka głośno; słychać teraz jedynie to dziecinnie ciamkanie i wiatr, który hałasuje za oknem.

Stara Kosowa podniosła gwałtownie głowę, spojrziała ze strachem w stronę drzwi.

— Co tam jest, mam? — zapytała ją córka.

— Cśś...

— Coś się stało?

— Pukają.

— Co? — rzekł Kos. — Nic nie słychać.

— Boś głuchy jak pień — powiedziała Kosowa. — Ktoś dobija się do drzwi. Wstawaj, Franuś!

Przybyłko zerwał się na równe nogi.

— Kto tam?

— Otwieraj!

Chwycił Przybyłko za siekiere i przyczał się koło progu. Ostrożnie uchylił drzwi. Wiatr wskoczył do izby, zawył, dziecko krzyknęło przeraźliwie, a potem weszli człowiek: blady jak ściana, ośnieżony, włosy miał zlepione i białe od mrozu — zatoczył się na środek izby, upadł.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! zawołała Kosowa. — Umiera człowiek...

— Albo się spł — powiedział Kos. — Nigdy nie wiadomo.

Tamten potoczył po nich nieprzytomnym wzrokiem. „Co to wam? — dopytywał się Przybyłko. — Co? Zachorowaliście?... — Pić... — szepnął.

Dali mu wody, a gdy napił się do syta, gdy obliźniętym językiem spieczona wargi, zatrząsł się cały ze strachu, oczy mu na wierzch wyłazyły i krzyczy:

— Wilki!

— Gdzie?

— Pędzili... Ledwie uciekłem.

— Pan nietutejszy? — zapytał Przybyłko.

Pokręcił głową:

— Przyjechałem na narty.

— Tutaj nie ma wilków — uśmiechnął się Przybyłko.

— Gnały...

— Niemożliwe.

— Tak — rzekł tamten — na pewno.

— Trzeba by zobaczyć, Franuś — odezwał się Kos. — Może przyszyli...

— Wczoraj chodziłem po lesie. Cały las przeszedłem. Nic nie widziałem, śladów nie ma.

— ...A jak przyszyli z karpackich gór? — szepnął Kos.

Przybyłko spojrział nań uważniej, namyślał się... „Pójdę”, powiedział; włożył barani kożuch i czapę na-

sadził na głowę, strzelbę przewiesił przez ramię, poszedł...

...minął już wieś z domkami rozrzuconymi wokół krętej drogi, okrążył cerkiewkę zasypaną gębkim śniegiem, potem skręcił na ścieżkę prowadzącą do lasu i zapadł się od razu po pas, bo ścieżka była nieprzetarta, nikt tedy nie chodził, ludzkich śladów nie było; przeklinał Przybyłko tę zimę, zio-rzeczył śniegiem i mrozom, zły był również na tego człowieka, który wypędził go spod ciepłego pieca — szedł jednak, chociaż kłął. „Wilki” — myślał — gdzie tu wilki; one w karpackich górach, tutaj nie schodzą, boją się ludzi, boją się ognia; mówi, że je widział, gdzie on je widział...?”

Koło chałupy Kaszyca ciekł jakiś przemknął; skoczył i zaczął się na białym śniegu. „Co za czort?”, szepnął Przybyłko; stanął, powolutku ściągnął z ramienia strzelbę, przymierzył...

Nie strzelił jednak. Ręka mu drgnęła i spościł się cały, bo już... już miał pociągnąć za cyngiel, ale... „Człowieka bym zabił — pomyślał — człowieka bym... o rany! „Ktoś woła! Bury, ej Bury! Potem szczeniątka pies. I dojrzał Przybyłko człowieka i tego psa. „Bury — krzyczał tamten — chodź no!” Pознаł go Przybyłko po głosie, uspokoił się, podszedł doń bliżej i zapytał:

— Czego wy, Kaszyc, ludzi psem straszycie?

— A tak — rzekł tamten. — Straszę.

— Po co?

— Ano...

— Nie chcecie mówić?

— Mogę powiedzieć Bury, do nogi!

— Więc...?

— Spokój, Bury! Córke mam ładną.

— Pan Bóg pobłogosławił — rzekł Przybyłko. — Pan Bóg łaskaw.

— Tak — zgodził się tamten. — Tylko chłopaki się zakradają i psem muszą straszyc.

Wrócił Przybyłko do domu z uśmiechem na ustach i zaraz od samego progu zaczął się wesoło śmiać. Ten nieznamy siedział przy piecu, jeszcze był przestraszony, mrukał nerwowo powiekami, pił gorącą herbatę i mówił: Wilki, niech je diabli...

— Jakże tam wilki — powiedział Przybyłko — to dziewczyna...

— Co?

— „Kaszycowa” dziewczyna się puszcza i stary musi ją psem pilnować, i kłopot ma wielki.

— A wilki?

— Siedzą w karpackich górach.

— Ale za dawnych czasów były — odezwał się Kos. — Pełno ich było w okolicznych lasach i człowiek się bał, i modlił się tylko o spokojny dzień i spokojną noc, lecz to już przeszło, tamte dni minęły, i nie pamiętam, kiedy się to zdarzyło: czy w grudniu to zaszło, czy też w styczniu, ale zima — pamiętam — była wówczas potężna i wilki wyły pod oknami i najjaśniejszy pan cesarz panował...

— Ale czy on zechce koniem?... — Nie wiem — rzekła Kosowa. Cichutko płakało dziecko. Potem zaczęło płakać głośniej. Kosowa podeszła do łóżka. „Zbudź się, córeczko — mówią. — Trzeba małego nakarmić, trzeba mu dać mleka”. Tamta nie odpowiadała, oczymiała wciąż przymknięte. Kosowa jęknęła: O Boże mój, ona rozpalona, ona cała w gorączce... Kos zbliżył się do zięcia. „Synku — powiedział — żona chora, trzeba iść do miasta”. „Przybyłko ocknął

Przybyłko głową kiwa, bo zaspal trochę i łeb sam mu opada na pierś; jego żona karmi dziecko, które uciszyło się nagle; ciemka głośno; słychać teraz jedynie to dziecinnie ciamkanie i wiatr, który hałasuje za oknem.

Stara Kosowa podniosła gwałtownie głowę, spojrziała ze strachem w stronę drzwi.

— Co tam jest, mam? — zapytała ją córka.

— Cśś...

— Coś się stało?

— Pukają.

— Co? — rzekł Kos. — Nic nie słychać.

— Boś głuchy jak pień — powiedziała Kosowa. — Ktoś dobija się do drzwi. Wstawaj, Franuś!

Przybyłko zerwał się na równe nogi.

— Kto tam?

— Otwieraj!

Chwycił Przybyłko za siekiere i przyczał się koło progu. Ostrożnie uchylił drzwi. Wiatr wskoczył do izby, zawył, dziecko krzyknęło przeraźliwie, a potem weszli człowiek: blady jak ściana, ośnieżony, włosy miał zlepione i białe od mrozu — zatoczył się na środek izby, upadł.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! zawołała Kosowa. — Umiera człowiek...

— Albo się spł — powiedział Kos. — Nigdy nie wiadomo.

Tamten potoczył po nich nieprzytomnym wzrokiem. „Co to wam? — dopytywał się Przybyłko. — Co? Zachorowaliście?... — Pić... — szepnął.

Dali mu wody, a gdy napił się do syta, gdy obliźniętym językiem spieczona wargi, zatrząsł się cały ze strachu, oczy mu na wierzch wyłazyły i krzyczy:

— Wilki!

— Gdzie?

— Pędzili... Ledwie uciekłem.

— Pan nietutejszy? — zapytał Przybyłko.

Pokręcił głową:

— Przyjechałem na narty.

— Tutaj nie ma wilków — uśmiechnął się Przybyłko.

— Gnały...

— Niemożliwe.

— Tak — rzekł tamten — na pewno.

— Trzeba by zobaczyć, Franuś — odezwał się Kos. — Może przyszyli...

...minął już wieś z domkami rozrzuconymi wokół krętej drogi, okrążył cerkiewkę zasypaną gębkim śniegiem, potem skręcił na ścieżkę prowadzącą do lasu i zapadł się od razu po pas, bo ścieżka była nieprzetarta, nikt tedy nie chodził, ludzkich śladów nie było; przeklinał Przybyłko tę zimę, zio-rzeczył śniegiem i mrozom, zły był również na tego człowieka, który wypędził go spod ciepłego pieca — szedł jednak, chociaż kłął. „Wilki” — myślał — gdzie tu wilki; one w karpackich górach, tutaj nie schodzą, boją się ludzi, boją się ognia; mówi, że je widział, gdzie on je widział...?”

Koło chałupy Kaszyca ciekł jakiś przemknął; skoczył i zaczął się na białym śniegu. „Co za czort?”, szepnął Przybyłko; stanął, powolutku ściągnął z ramienia strzelbę, przymierzył...

Nie strzelił jednak. Ręka mu drgnęła i spościł się cały, bo już... już miał pociągnąć za cyngiel, ale... „Człowieka bym zabił — pomyślał — człowieka bym... o rany! „Ktoś woła! Bury, ej Bury! Potem szczeniątka pies. I dojrzał Przybyłko człowieka i tego psa. „Bury — krzyczał tamten — chodź no!” Pознаł go Przybyłko po głosie, uspokoił się, podszedł doń bliżej i zapytał:

— Czego wy, Kaszyc, ludzi psem straszycie?

— A tak — rzekł tamten. — Straszę.

— Po co?

— Ano...

— Nie chcecie mówić?

— Mogę powiedzieć Bury, do nogi!

— Więc...?

— Spokój, Bury! Córke mam ładną.

— Pan Bóg pobłogosławił — rzekł Przybyłko. — Pan Bóg łaskaw.

— Tak — zgodził się tamten. — Tylko chłopaki się zakradają i psem muszą straszyc.

Wrócił Przybyłko do domu z uśmiechem na ustach i zaraz od samego progu zaczął się wesoło śmiać. Ten nieznamy siedział przy piecu, jeszcze był przestraszony, mrukał nerwowo powiekami, pił gorącą herbatę i mówił: Wilki, niech je diabli...

— Jakże tam wilki — powiedział Przybyłko — to dziewczyna...

— Co?

— „Kaszycowa” dziewczyna się puszcza i stary musi ją psem pilnować, i kłopot ma wielki.

— A wilki?

— Siedzą w karpackich górach.

— Ale za dawnych czasów były — odezwał się Kos. — Pełno ich było w okolicznych lasach i człowiek się bał, i modlił się tylko o spokojny dzień i spokojną noc, lecz to już przeszło, tamte dni minęły, i nie pamiętam, kiedy się to zdarzyło: czy w grudniu to zaszło, czy też w styczniu, ale zima — pamiętam — była wówczas potężna i wilki wyły pod oknami i najjaśniejszy pan cesarz panował...

— Ale czy on zechce koniem?... — Nie wiem — rzekła Kosowa. Cichutko płakało dziecko. Potem zaczęło płakać głośniej. Kosowa podeszła do łóżka. „Zbudź się, córeczko — mówią. — Trzeba małego nakarmić, trzeba mu dać mleka”. Tamta nie odpowiadała, oczymiała wciąż przymknięte. Kosowa jęknęła: O Boże mój, ona rozpalona, ona cała w gorączce... Kos zbliżył się do zięcia. „Synku — powiedział — żona chora, trzeba iść do miasta”. „Przybyłko ocknął

Przybyłko głową kiwa, bo zaspal trochę i łeb sam mu opada na pierś; jego żona karmi dziecko, które uciszyło się nagle; ciemka głośno; słychać teraz jedynie to dziecinnie ciamkanie i wiatr, który hałasuje za oknem.

Stara Kosowa podniosła gwałtownie głowę, spojrziała ze strachem w stronę drzwi.

— Co tam jest, mam? — zapytała ją córka.

— Cśś...

— Coś się stało?

— Pukają.

— Co? — rzekł Kos. — Nic nie słychać.

— Boś głuchy jak pień — powiedziała Kosowa. — Ktoś dobija się do drzwi. Wstawaj, Franuś!

Przybyłko zerwał się na równe nogi.

— Kto tam?

— Otwieraj!

Chwycił Przybyłko za siekiere i przyczał się koło progu. Ostrożnie uchylił drzwi. Wiatr wskoczył do izby, zawył, dziecko krzyknęło przeraźliwie, a potem weszli człowiek: blady jak ściana, ośnieżony, włosy miał zlepione i białe od mrozu — zatoczył się na środek izby, upadł.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! zawołała Kosowa. — Umiera człowiek...

— Albo się spł — powiedział Kos. — Nigdy nie wiadomo.

Tamten potoczył po nich nieprzytomnym wzrokiem. „Co to wam? — dopytywał się Przybyłko. — Co? Zachorowaliście?... — Pić... — szepnął.

Dali mu wody, a gdy napił się do syta, gdy obliźniętym językiem spieczona wargi, zatrząsł się cały ze strachu, oczy mu na wierzch wyłazyły i krzyczy:

— Wilki!

— Gdzie?

— Pędzili... Ledwie uciekłem.

— Pan nietutejszy? — zapytał Przybyłko.

Pokręcił głową:

— Przyjechałem na narty.

Spotkania po 20 latach

(Ciąg dalszy ze str. 1)

— Ale „weszliśmy” tylko na początku. Mówiąc o późniejszych działaniach należy mówić raczej „pędziliśmy” wtrąca Gurienkow. Pędziliśmy tak, że nie było czasu na sen, a często i na posiłek... Ani się obejrzelśmy jak byliśmy w Krakowie.

— No, nie wszystkim szło tak gładko — oponuje Szyzkow, który jedyny z całej grupy w cywilu nie zmienił specjalności i jak niegdyś na froncie tak i dziś jest kierowcą. Pamiętam, że między Machowem a Krakowem, kilka kilometrów przed tym ostatnim jeden z dywizjonów natknął się na ostrą obronę hitlerowców, którzy z zamaskowanych bunkrów ostrzelali naszą kolumnę. Dopiero przy pomocy wezwanej przez dowódcę dywizjonu Krasowskiego piechoty, udało się Niemców otoczyć i wziąć do niewoli.

— O, z Krasowskiego to był zuch. Później już w Niemczech dostał tak, że lekarze 22 dziury naliczyli w jego ciele, a przecież wyżył. Obecnie jest w Moskwie.

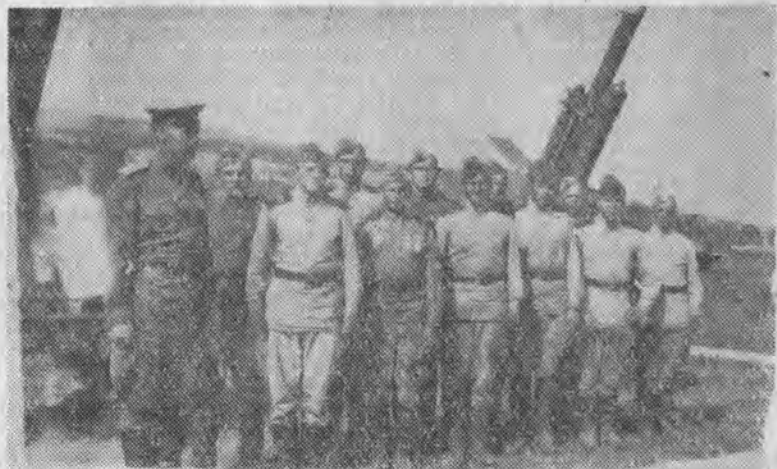
— A pamiętacie ten nocny kontratak Niemców w Krakowie?

— Oczywiście. To wtedy, kiedy major Kowalewski z 6 zwiadowcami przeszedł przez zniszczony most i natknął się na hitlerowskie kaemy. Daliśmy wtedy ognia z dział po tych gniazdach ogniowych, a szwaby o północy polegli przez tenże most do kontrataku. Zrobiło się gorąco, bo i nas, i dział było niewiele, część znajdowała się dopiero w drodze. Z opresji wyratował nas oficerski batalion karny, który nad-

szedł w 3—4 godz. po rozpoczęciu walki.

— A pamiętacie tego leśniczego spod Krakowa, który przybiegł do nas z prośbą, by nie wycinać drzew z pańskiego lasu, bo właściciel, który przebywał w Krakowie będzie miał pretensje?

— A tę małą dziewczynkę, może siedmioletnią, która przyszła do baterii z kotkiem na rękę w czasie walk w Krakowie? Dowódca dywizjonu Kallioin pytał o jej rodziców, okazało się, że oni ewakuowali się z miasta a mała została. Podobno szukała tego kotka i zgubiła się.



Żołnierze leningradzcy na ziemiach polskich. Trzeci od lewej w pierwszym rzędzie Fiodor Utkin.

— A tego esesmana, który się w piwnicy w kartoflach schował, ale wpadł, bo mu było zadek widać?

— No, to już było później...

Płyną wspomnienia, przeplatają się i dopełniają, przywodząc na pamięć tamte dni sprzed 20 lat. Najlepiej pamięta je Mikołaj Szyzkow, który prowadził zapiski i zachował swoją starą frontową mapę. Na nasze spotkanie przyniósł album z fotografiami i pokazując zdjęcia opowiada.

— Widzicie? To jest Utkin, dowódca dział, jedyny jaki ocalał z całej obsługi podczas walk w Pol-

sce. Pewnego dnia, kiedy Niemcy ruszyli do kontrataku Utkin ukrył swoje działo za zwykłym płotem i spokojnie czekał na podejście hitlerowskiego czołgu. Otworzył ogień dopiero z trzydziestu metrów, a jak wiadomo z tej odległości trudno nie trafić. Czołg został rozbity, po nim następny, ale, niestety, w dalszej walce pocisk z niemieckiego dział pancernego trafił prosto w działo. Ocalał tylko Utkin, który otrzymał później Order Czerwonego Sztandaru. A to jest Kola Oriów dowódca haubicy. Ich bateria w pościgu za Niemcami natknęła się na 70 hitlerowców, którzy ruszyli do ataku. Sytuacja była ciężka, z szosy strzelać jest przecieź niepodobniństwem. Oriów nie stracił jednak głowy. Wtoczył haubicę do rowu i rąbnął w Niemców ogniem na wprost. Ci uskoczyli do muirowanego domku. Tego było trzeba artylerzystom. Kilka pocisków w budynek i Niemcy zostali pogrzebani w gruzach.

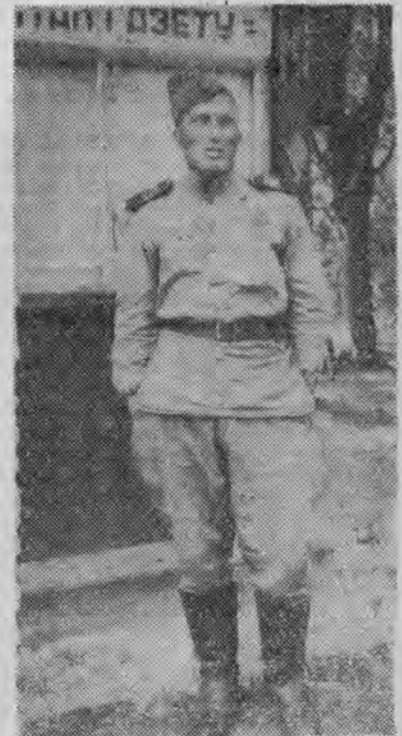
— To było wtedy, gdy wpadliśmy w okrążenie?

— A tak. Właśnie wieczorem udawaliśmy się do jakiegoś osiedla górniczego i rozcięliśmy na dwoje niemiecką dywizję, nawet się tego nie domyślając. Górnicy witali nas bardzo serdecznie, zaczęliśmy już świętować wyzwolenie, gdy dowiedzieliśmy się, że jesteśmy niemal z wszystkich stron otoczeni. Sytuacja była niezwykła: w środku my, wokół nas Niemcy, a dookoła nich nasze wojska, które ich z kolei okrążyły.

— No, dziś się spokojnie o tym mówi — wtrąca Plotkan, ale ja widziałem potem katusze, które wycelowane były dokładnie w nasze stanowiska (nikt nie wiedział, że tam jesteśmy) gotowe uderzyć po Niemcach.

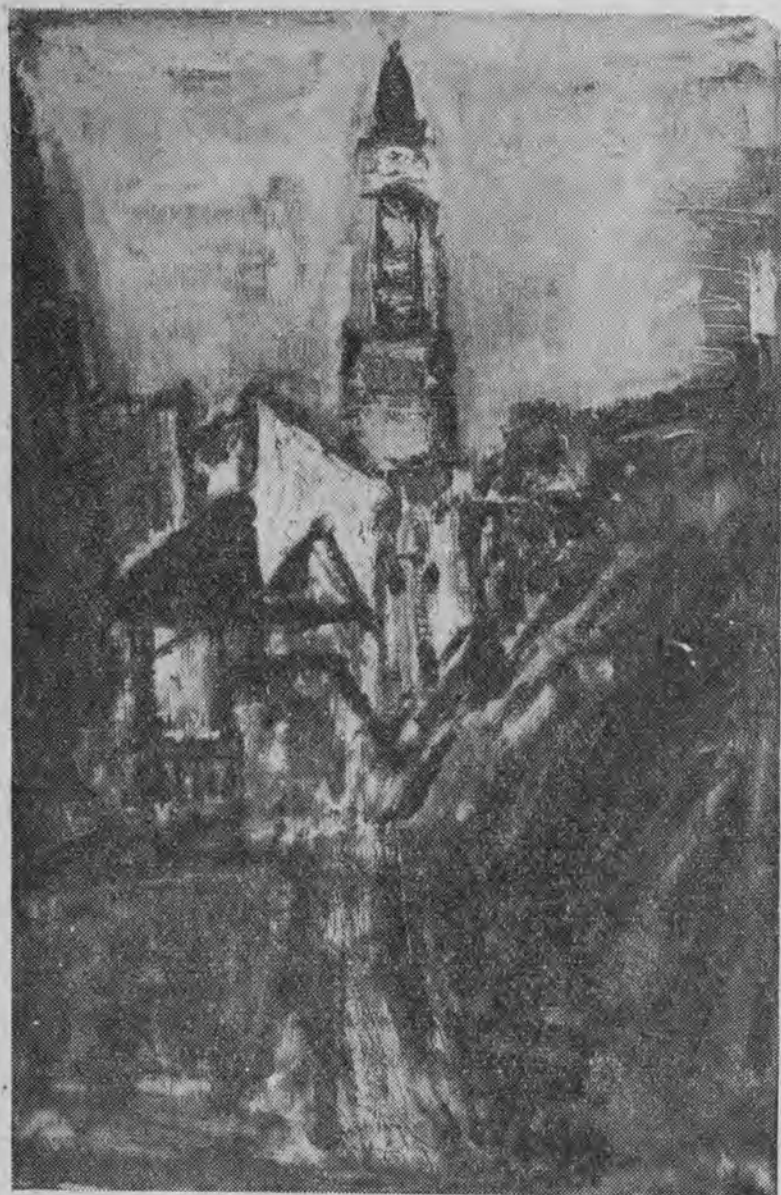
Rozmowa ciągnie się do późna wieczór. Kiedy się rozstajemy, na Newskim Prospekcie jarzą się tysiące świateł. Patrzę na nie i myślę, że w tym układającym się oto do snu mieście żyją i pracują tysiące ludzi, którzy 20 lat temu przynieśli na naszą ziemię wyzwolenie, takich jak ci, z którymi rozmawiałem przed chwilą.

WITOLD SZYMZYK



Malarstwo musi być autentyczne

(z wizytą u prof. Jana Wodyńskiego)



JAN WODYŃSKI — Wieża w Bieczu (olej)

Fot. Z. TARGOWSKI

Prof. Wodyński mieszka na skarpie Wiślanej przy ulicy Karowej. W skromnej pracowni — zastawionej niezliczoną ilością szkiców, płócien, nie dokończonych, zaczytanych i takich, które trzeba przerobić — profesor spędza długie godziny.

Na sztaludze wśród delikatnych pastelów dostrzegam coś bliskiego, znajomego. Gdy mówię profesorowi, że ja to przecież skądś znam, sympatyczny gospodarz jednym słowem określa treść rozpoczętej pracy: Biecz. Ach, rzeczywiście, jak mogłem nie poznać! Wismukie cygareto wieży ratuszowej dominuje nad pofalowaną linią dachów, stwarza niepowtarzalny widok...

Jednakże treść wspomnianego obrazu jest symptomatyczna nie tyle dla charakteru malarstwa prof. Wodyńskiego, ile dla określenia jego osobowości: biorąc aktywny udział w życiu artystycznym kraju, prowadząc pracę pedagogiczną — nie zapomina o krainie swojej młodości, o rodzinnym Jaśle i Rzeszowszczyźnie. Stąd jego życzliwa opieka nad ludźmi, którzy trafiają do niego z Rzeszowskiego, stąd udział w akcji fundowania galerii plastyki współczesnej dla szkół Tysiąclecia (prof. Wodyński ofiarował obraz dla galerii szkolnej w Pustkowie (w pow. Dębica).

Do malarstwa ciągnęło go od wczesnej młodości. Apollinary Kotowicz (uczeń Matejki, kolega Fałata) uczył Wodyńskiego rysunku w niższych klasach gimnazjum jasielskiego i był tym, który skierował uwagę gimnazjalisty na malarstwo, a Stanisław Szczepański, obecnie profesor warszawskiej ASP (urodzony w Ropczycach) pomagał mu w przygotowaniach do egzaminu na ASP w Krakowie. W roku 1929 Wodyński przenosi się wraz z prof. Felicjanem Kowarskim i grupą „Pryzmat” do Warszawy, by już tam pozostać. Kończy studia, pracuje jako asystent u prof. Kowarskiego, bierze udział w pierwszych wystawach, tuż przed samą wojną wyjeżdża do Włoch, Francji. Ta podróż daje mu bardzo dużo, przyspiesza jego rozwój artystyczny. Przychodzi wojna i pochłania cały dorobek młodego artysty.

— Po wojnie musiałem zaczynać od nowa — opowiada prof. Wodyński. A w ogóle jeżeli chodzi o początki mojego malarstwa to zaczynałem od postimpresjonizmu, dzisiaj, mimo że nie jestem już młody, wydaje mi się, że tkwię we współczesności! Koledzy po obejrzeniu mojej ostatniej wystawy w 1963 roku byli zaskoczeni zmianami w systemie mojej pracy, które wpłynęły zasadniczo na moje malarstwo. Muszę powiedzieć, że gdybym dzisiaj wystawiał, to do tej ekspozycji trafiłoby zaledwie 20 proc. obrazów z poprzedniej, tak daleko odszedłem od tamtych tendencji. Obecnie mam skłonność do unikania szczegółów, moje malarstwo zmierza w kierunku uproszczenia, syntezy.

Uważam, że malarstwo musi być przede wszystkim autentyczne. Osobiście nie unikam nawet akcentów naturalistycznych, jeżeli są one autentyczne. Zmierzam do pogłębienia koloru, do zagęszczenia materii malarzkiej. Muszę panu powiedzieć, że nieoczekiwanie praca z młodzieżą nie stwarza mi przeszkód w mojej osobistej twórczości — ale raczej poszerza moje horyzonty i wzbogaca moje doświadczenia w malarstwie. Oprócz pracy pedagogicznej, którą lubię, udziału w pracach ZPAP, w życiu uczelni, malarstwo wypełnia mi cały wolny czas. Bardzo dużo daje mi muzyka, zwłaszcza klasyczna: Mozart, Bach.

— Co Pan Profesor sądzi o współczesnym malarstwie polskim?

— Myślę, że po okresie wyraźnego zamętu na początku lat pięćdziesiątych, obecna sytuacja rokuję jak najlepsze nadzieje. Przed paru laty oglądałem wystawę 15-lecia i przyznam się, że nigdy dotąd nie widziałem takiej erupcji talentów. Dzięki rozwojowi szkolnictwa artystycznego, dzięki ogólnym warunkom stworzonym przez Polskę Ludową, mamy w kraju duże zastępy utalentowanych malarzy. Czasami wydaje mi się nawet, że nie bardzo zdajemy sobie z tego sprawę, bo niezależnie od ogólnie znanych trudności, od faktu, że jesteśmy krajem na dorobku, który zmuszony był odbudowywać swoje życie po straszliwych zniszczeniach wojny, mimo to jest chyba poważnym przeoczeniem niedoceniwanie tak ważnej roli, jaką spełniają w życiu kulturalnym galerie sztuki współczesnej. Nie ma takiej galerii ani Warszawa, ani Kraków ani inne

ośrodki, grupujące liczne i utalentowane środowiska plastyczne. Jedyne Poznań, a ostatnio również Bydgoszcz stanowią mogą chlubny wyjątek: dzięki staraniom swych działaczy kulturalnych, dzięki poparciu władz wojewódzkich — dorobiły się galerii sztuki nowoczesnej. Galerie te — aczkolwiek skromne jeszcze, już dają pogląd na to co się dzieje we współczesnym malarstwie polskim.

Albo fakt o mniejszym znaczeniu: kiedyś przeczytałem w gazecie, że w zabytkowym zamku w Krasiczynie odkryto pod tynkiem sgrafitta i aby je odrestaurować, musimy zwrócić się aż do fachowców włoskich. Przeczytałem i zdziwiłem się: przecież mamy w Polsce wielu specjalistów w tej dziedzinie, wychowanków krakowskiej i warszawskiej ASP, a ich dziełem są pięknie zrekonstruowane, budzące zachwyty za granicą polichromie kamieniczek Starego Miasta w Warszawie, ulicy Długiej w Gdańsku i w innych miastach. Po cóż więc uciekać się do pomocy Włochów, jeżeli sami potrafimy zrobić to jeżeli nie lepiej, to w każdym razie nie gorzej!

— Panie Profesorze, dziękując za rozmowę, chciałbym zapytać na zakończenie, kiedy będziemy mogli obejrzeć wystawę Pańskiego malarstwa w Rzeszowie?

— Jestem w kontakcie z rzeszowskim Biurem Wystaw Artystycznych, wraz z prof. Stanisławem Szczepańskim przygotowujemy wystawę na przyszły rok.

Notował: ZBIGNIEW WAWSZCZAK

Jan Wodyński urodził się w roku 1903, w Jaśle. Studia artystyczne odbył w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie i Warszawie. Od roku 1930 bierze udział w wystawach w kraju i za granicą, m. in.: w Nowym Jorku, Kapsztadcie. Wystawy indywidualne: Warszawa 1935, 1937 r. Członek grupy „Pryzmat”, skupiającej uczniów prof. W. Weissa i F. Kowarskiego.

W roku 1945 przystępuje do pracy społecznej jako współorganizator ZPAP na terenie Śląska. Od 1946 roku jest wykładowcą na Wydziale Sztuk Pięknych UMK w Toruniu, od 1947 r. — w PWSSP w Sopocie, a od 1953 r. — w ASP w Warszawie. Bierze udział w wystawach okręgowych i ogólnopolskich, wielokrotnie otrzymuje nagrody i wyróżnienia, w roku 1950 przyznano mu Nagrodę Państwową III stopnia. Wystawy indywidualne: Warszawa 1957, 1960, 1963 r. poza tym wystawy w Sopocie, Wrocławiu, Poznaniu, Szczecinie, Bydgoszczy, Toruniu, Katowicach, Częstochowie. Jego prace eksponowane były także na wystawach sztuki polskiej w ZSRR, ZRA, Czechosłowacji.

Przed 800 rocznicą urodzin Rustawelego

We wrześniu przypada 800 rocznica urodzin narodowego wieszcza Gruzji — Szoty Rustawelego. Jego poemat pt. „Witeź w skórze tygrysa” jest perłą literatury gruzińskiej przełomu XII i XIII wieku, kiedy Gruzja przeżywała rozkwit gospodarczy i kulturalny.

„Witeź w skórze tygrysa” wydany był w Gruzji niezliczona ilość razy i został przetłumaczony na kilkadziesiąt języków. Fragmenty „Witezia” tłumaczył na polski Julian Tuwim. Przekładu całości dzieła dokonał Igor Sikirycki.

Życie i spuścizna literacka Szoty Rustawelego wzbudza ogromne zainteresowanie. Jednym z ważniejszych odkryć w ostatnim okresie było odnalezienie portretu słynnego poety. Odkryła go grupa uczonych, którzy przed kilku laty przebywali w Jerozolimie, gdzie Rustaweli spędził ostatnie lata swego życia w jednym z klasztorów.

RYSZARD BILSKI

Kowal, pieniądze i... scena

Starszy mężczyzna podał mi spracowaną, zasmarowaną rękę... oderwałem go od pracy. Usiedliśmy przy stole, który już po chwili ugiął się pod stołem pośliskich tezek i papieru. Na małym kartelusku pisany jeszcze w roku 1945 pierwszy protokół z zebrania zespołu teatralnego w Zbydniowie.

„Zebranie odbyło się przy udziale 25 członków. Na zebraniu przewodniczył kol. Konstanty Bielecki, jako kierownik świetlicy...”

— Wrócićm wówczas — mówi — z kursu dla świetlicowych. Zachęciano nas do organizowania zespołów teatralnych. Więc założyliśmy. Chodziło również o to, aby wypełnić czymś młodzieży czas.

Tytułu pierwszej sztuki już nie pamiętam, ale premiera utkwiła nam wszystkim dobrze w pamięci. Świetlice otoczyli bandyci i grozili, że zarzucą nas granatami. Na szczęście na groźbach się wszystko skończyło. Zespół grał i gra dalej już prawie 20 lat. Z pierwszego zespołu pozostałem już tylko sam.

Zespół organizowany jest w zasadzie każdego roku na jesieni od nowa. Z chwilą rozpoczęcia intensywniejszych prac polowych, kończy swą działalność. Tak zresztą jak większość amatorskich zespołów na wsi. Widocznie jednak zbydniowscy amatorzy, bardziej niż inni rozmiłowali się w teatrze, bo rozpoczęli już dziewiętnasty jesienno-zimowy sezon artystyczny.

Istnieje opinia, że zespoły artystyczne na wsi zakłada się jeszcze często w celu zdobycia np. pieniędzy na kupno osławionej już sikawki, czy obecnie telewizora. Zdarza się, że ludzie zarabiają się teatralnym bakcykiem i mimo załatwionych sprawunków zespół nadal działa. Tak właśnie stało się w Zbydniowie. Choć zespół zorganizowano z ważniejszych potrzeb niż tylko zdobycie pewnej sumy pieniędzy — są one i tu motorem działania, powodem trwania, a zarazem przyczyną wielu kłopotów w zespole.

Starannie prowadzone raporty kasowe, protokoły i sprawozdania finansowe stanowią zarazem zaszyfrowany repertuar. A więc wiadomo: klika, wruszająca do lez

„Chata za wsią”. Oberwał za to Bielecki tęgie łanie w Tarnobrzegu, ale nie ustąpił i zrobił niezłą kasę. Zresztą, na usprawiedliwienie, sztuka była już opracowana, kiedy Powiatowy Wydział Kultury zakwestionował jej wybór.

W ciągu 20 lat zbydniowscy amatorzy tylko jeden raz oglądali spektakl w teatrze zawodowym. Czyżby dogodne połączenie autobusowe i kolejowe, nie mówiąc już przecież o zamiłowaniu do teatru, nie było wystarczającym zachęcającym?

Alicja Worek, młodziutka nauczycielka, rodem z Tarnowa, pracuje w Zbydniowie już trzeci rok. Ona również związała się z zespołem. Jest suflerką.

— Gdy przyjechałam, wszystkie tytułowe role były już obsadzone na cały sezon — żartuje. Wzięłam więc to, co zostało.

Mieszka wraz z koleżanką, także nauczycielką, w małym pokoiku. Dwa łóżka, kuchnia, stół, krzesła i część gospodarza odgródzona kotarą. To wszystko. No i dużo entuzjazmu.

— Będziemy budować lodowisko, oświetlimy je oczywiście. Chciałabym jakoś rozruszać młodzież, pobudzić do inicjatywy. Rozumie pan, sam teatr to za mało, nie stanowi zresztą już tak wielkiej atrakcji. Nie że się tu ludziom powodzi. Z każdej rodziny ktoś pracuje, jak nie w Tarnobrzegu to w Stalowej Woli, z niektórych domów nawet po dwie osoby. Na kilkunastu domach wystrzelili w górę anteny telewizyjne.

Przez drzwi, choć zastawione jakimiś szpargalami, dochodzą nas rozmowy czytelników z bibliotekarką — mieszkanką nauczycielki sąsiaduje z biblioteką gromadzką.

— Młodzież — mówi nauczycielka — jest rzeczywiście mądra, wymagająca, nawet może za bardzo. Ma tylko jedną wadę. Chciałaby korzystać już z gotowego.

Choć może daleko zbydniowskim amatorom do klasy reprezentowanej np. przez zespół z Szalowej i choć

M ó w i redaktor „KAMENY”

Redaktorem naczelnym dwutygodnika lubelskiego oddziału ZLP „Kamena” został Marek Adam Jaworski, syn Kazimierza Andrzeja, który przed 30 laty założył czasopismo w Chełmie Lubelskim.

Lubelski korespondent PAP poprosił nowego redaktora „Kamena” o wypowiedź na temat pracy czasopisma.

— Przede wszystkim chcemy stworzyć z „Kamena” pismo, reprezentujące cztery województwa: Białystok, Kielce, Lublin i Rzeszów. Szerzej będziemy pisać o życiu społeczno-kulturalnym tych regionów, tym bardziej że każdy dzień przynosi wiele interesujących osiągnięć i inicjatyw. Uwzględniać będziemy także prace miejscowych środowisk naukowych, które powstały dopiero po wojnie. Chcemy także skupić wokół pisma wszystkich ludzi pióra naszych ziem, przedstawiając ich dorobek twórczy. Omawiać będziemy artystyczny ruch amatorski, jego osiągnięcia i kłopoty. Wprowadzimy więcej informacji o życiu kulturalnym naszych regionów, nie zapominając o innych ziemiach Polski.

Nawiązując do tradycji przedwojennej „Kamena” zajmujemy się znowu bliżej literaturą i poezją słowiańską. Podobnie jak dawniej, pragniemy również udostępnić „Kamena” debiutantom, szczególnie poetyckim debiutom. Chcemy też oprzeć się na większym gronie autorskim, obejmującym środowiska literackie, naukowe i kulturalne czterech województw.

Obciążeni są wieloma minusami; niestaranny dobór repertuaru, pogon za zyskiem (wprawdzie przeznaczony na cele społeczne) stanowi on w naszych warunkach przykład pozytywny. Już sam fakt dwudziestoletniego istnienia jest chyba wystarczającym argumentem. Bielecki i jego zespół są jak dotychczas najwytrwalszym organizatorem życia kulturalnego w swojej wsi i chyba jedynym.

Otwarto niedawno w Zbydniowie klub „Ruchu”. Nic, dosłownie nie tam się nie dzieje, oprócz oczywiście handlu, który przedtem, kiedy kiosk mieścił się w budce, był „wygodniejszy”. Na uparte „nie schodząc z konia” można było kupić „giewonty” i „Nowiny”. Klub to druga, oprócz świetlicy, placówka k.o. Cóż, skoro straszny pustka i chłodem. Świetlica odwiedzana jest wprawdzie licznie przez młodzież, lecz na oglądaniu programu telewizyjnego kończy się cała działalność świetlicowa. Kto ma więc bilet miesięczny i trochę pieniędzy, jedzie znowu wieczorem do Stalowej Woli lub Tarnobrzega. Była przed wojną w Zbydniowie orkiestra dęta. Kiedy wybuchła wojna, instrumenty schowano w wieży kościelnej. Po wyzwoleniu muzycy zabrali je i założyli zespół, który wkrótce się rozpadł. Jego byli członkowie grają obecnie w orkiestrach zakładowych w Stalowej Woli i Tarnobrzegu.

Bielecki jest gorliwym zwolennikiem ponownego założenia orkiestry. Gotów jest nawet przeznaczyć na ten cel część pieniędzy wygosparowanych przez zespół teatralny.

— To byłaby któraś tam już z rządu nasza cegiełka, udział w rozwoju życia kulturalnego wsi. Przy naszej pomocy (to znaczy zespołu), wyremontowano świetlicę, zakupiono trochę sprzętu i telewizor.

20 lat pracy, niełatwo o podobny przykład. Sądzę, że to wystarczająca próba sił, a zarazem gwarancja, że jeśli zespół otrzyma pomoc instruktazowo-metodyczną, będzie o nim głośno nie tylko w jednej wsi, czy też powiecie.

RYSZARD BILSKI

● DYSKUSYJNA TRYBUNA ● DYSKUSYJNA TRYBUNA ●

Kłopoty z nastolatkiem

Konflikt pokoleń, to konflikt odwieczny, i jest rzeczą pewną, iż nastolatki, którym obecnie „mamy za złe”, gdy będziemy funkcjonowali już tylko jako wysokokaloryczny podwieczorek murawy, będą z kolei „miały za złe” nastolatkom sobie współczesnym.

Nie znaczy to oczywiście, że dyskusja nad problemem aktualnej postawy nastolatka, jest rzeczą zbędną. Jest ona niezmiernie potrzebna, pod warunkiem jednak, że za nadrzędny przedmiot swoich rozważań przyjmie kwestię przyczyn zjawiska. Jeżeli bowiem uwagę swą skupi wyłącznie na sprawie jego skutków, grozi jej zejście na utarty szlak jałowej retoryki.

Kwestia przyczyn warunkujących zjawisko „nastolatek współczesny”, to kwestia złożona tak dalece, że można na kilku stronach maszynopisu spróbować zaledwie ją naszkicować. Jak również rzecz przekraczającą możliwości felietonisty jest pokazanie złożoności życia współczesnego społeczeństwa, które wywiera na interesującą nas sprawę decydujący wpływ. Które pokolenie wstępujące uczestniczyło w tak bogatym w efekty procesie przewartościowań, jakie niesie ze sobą proces budowy socjalistycznego ustroju?

Nastolatek okresu przedwojennego, czy też wojennego, który znał smak głodu, wiedział, że cena chleba i butów jest wysoka, że zdanie rodziców nie podlega dyskusji, a kiedy podnosił oczy na ścianę, dostrzegał z jednej strony wiszący na gwoździu pas, za pomocą którego, w przypadku jego wątpliwości, argumentowano poddyktowane mu normy postępowania, z drugiej zaś strony obraz wszechwiedzącego Boga, który, jak go informowano, normy te ustanowił i ma na podległym niebo dla siebie posłusznych, piękno natomiast dla krnąbrnych.

Nastolatek współczesny nad ceną chleba i butów w ogóle się nie zastanawia, gdyż nie przywiązuje się wagi do tego, co przychodzi bez najmniejszego z naszej strony wysiłku, za rzecz zupełnie naturalną uważa również fakt, że społeczeństwo łoży na jego naukę, daje mu stypendium, różnego rodzaju zniżki, że z myślą o nim buduje doskonale wyposażone świetlice, domy kultury i wyższe uczelnie. Współczesny nastolatek sceptycznie ustosunkowuje się do zdania rodziców i w ogóle doradców, z jednej strony dlatego, iż sceptycyzm jest jednym z rządzących jego światem praw, z drugiej zaś strony ze względu na fakt, że niejednokrotnie wie o niektórych zjawiskach współczesnego mu świata daleko więcej od swoich rodziców. Współczesny nastolatek lanie otrzymuje daleko rzadziej aniżeli jego historyczni rówieśnicy, gdyż prawa rządzące współczesną podstawową komórką społeczną odwołują się na ogół od praw dawnych, a te nie bez wpływu pozostają na stosowane w jej łonie metody wychowawcze.

Fakt przejścia starszego pokolenia przez gorzkie doświadczenia okresu przedwojennego i wojennego, i płynąca stąd chęć uchronienia swego potomstwa od konieczności egzystowania w warunkach, które były ich udziałem. Jeżeli natomiast zdarza się, że przywieziony do ostateczności rodzic sięgnie po pas, fakt taki zostaje przyjęty na ogół przez nastolatka jako akt przemocy, której racje są dla niego wątpliwe. W takim wypadku proces ten przyczynia się raczej tylko do pogłębienia nurtującego nastolatka uczucia buntu. Nie zawsze jednak. (Nie znaczy to, że jestem zwolennikiem przywrócenia i szerokiego stosowania kary chłosty, gdyż nie jestem zwolennikiem brutalności i chamsstwa, lecz, jak chyba u wielu, budzi i we mnie pewne refleksje fakt, który świadczy o tym, że w czasie, kiedy trzciną, czy też zwyczajny kij stanowili podstawowy argument wychowawczy — linia wykresu przestępczości wśród nieletnich znajdowała się daleko bliżej punktu zerowego, aniżeli dzisiaj, a problem chuligaństwa w zasadzie nie istniał).

Współczesny nastolatek wreszcie, sprawę religii i małowanego przez nią nieba i piekła umieszcza we właściwym jej miejscu, to jest pośród historycznych legend, na ogół jednak za jednym zamachem odkłada również do lamusa głoszone przez nią, a wypracowane przez doświadczenia wieków przykazania, których stosowanie (rzecz jasna ujmując to w innym aniżeli religia języku) zaleca kodeks cywilny każdego cywilizowanego społeczeństwa.

Co zatem potrafi utrzymać w ryzach współczesnego nastolatka do czasu, w którym, bez zagrażającego mu ryzyka zbroczenia na manowce, będzie mógł poruszać się, dzięki zdobytemu światopoglądowi, na własną odpowiedzialność? Dom rodzinny? Tak, pod warunkiem, że rodzice nastolatka potrafią w jego świadomości utrzymać swój autorytet imponując mu swą wiedzą, przestrzeganiem norm etycznych życia rodzinnego i społecznego, umiejętnością prowadzenia z nim dialogu na zasadzie obustronnego zaufania i poszanowania swoich racji.

Nauczyciel? Oczywiście. Jeżeli zdoła w trakcie realizowania programu nauczania i wychowania odkryć, umiejętnie rozwijać zainteresowanie, czy też talent nastolatka, uczynić z przedmiotu nauczania rzecz interesującą, stać się dla nastolatka wzorem godnym naśladowania również w życiu prywatnym. Nowy, wchodzący w życie regulamin uczniowski między innymi mówi, że uczeń powinien: „(...) przestrzegać form kulturalnego zachowania się w szkole i poza szkołą, okazywać uprzejmość i życzliwość, być prawdomównym i rzetelnym w wykonywaniu obowiązków” itp., dalej mówi się o „szacunku dla pracy własnej, rodziców, nauczycieli i innych ludzi, o stosunku do spraw zdrowia i higieny”, a też „o przestrzeganiu zakazu palenia tytoniu (...)”.

Jakie są szanse, aby regulamin uczniowski stał się czymś więcej aniżeli gustowną ozdobą lekcyjnej sali? Aby nie został potraktowany przez nastolatka, jako jeszcze jedna „mowa-trawa”? Nastolatek bowiem należy do społeczności, która posiada swój slang, swoje zwyczajy, pośród których poza na cynizm jest jedną z głównych reguł gry. Nastolatek reguluje tę grę może rozwijać i wzbogacać, gdyż pomiędzy czasem, w którym przebywa pod okiem nauczyciela a czasem, w którym dociera pod opiekę rodziców (a granice tego czasu są różne, jak również różna bywa forma tej opieki), istnieje czas „wyjęty spod prawa”, czas na kawiarne, na szlifowanie bruków, poekalknie dworcowa lub dworowy bufet z wyszynkiem piwa, którego nastolatki na ogół się nie odmawia, czas na papierosa, często na ulicy, czy w pociągu, wobec bierniej obecności dorosłych, czas na nudo, która jest przytulną kolebką przestępstwa i chuligaństwa. Czas równoległy czasowi ludzi z mozołem odbudowujących zrujnowany przez okupanta kraj. Ale czy również dostatecznie troszczących się o to, aby wyposażyć nastolatka w idee?

Rzeczą zrozumiałą jest bezsilność społeczeństw kapitalistycznych wobec rozwydrzenia rosnących w ich ustroju nastolatków, społeczeństw nie dysponujących ideą postępu. Rzeczą niemożliwą jest postawa nastolatka rosnącego w społeczeństwie, które dysponuje najpiękniejszą, jaką zna historia ludzkości, ideą.

Dlatego raz jeszcze pozwól sobie zapytać: czy społeczeństwo, jego starsza generacja, w dostatecznym stopniu, obok dbałości o materialną stronę życia nastolatka, w dostatecznym stopniu troszczy się o rozwój ich świadomości ideowej?

Bez niej wszystkie inne zabiegi wychowawcze są wyłącznie zabiegami natury profilaktycznej. A profilaktyka, jak wiadomo, nie jest długofalową metodą leczniczą.

BOGDAN LOEBL

Festiwal dawnej muzyki Europy środkowej i wschodniej

W Bydgoszczy trwają intensywnie przygotowania do imprezy muzycznej, o której już dziś wiele się mówi; skupia ona uwagę muzykologów i muzyków europejskich, pomimo że do jej rozpoczęcia upłynie jeszcze ponad rok. I Międzynarodowy Festiwal Dawnej Muzyki Krajoów Europy Środkowej i Wschodniej — o nim właśnie mowa — połączony będzie z Kongresem Naukowym, poświęconym muzyce 7 państw: Polski, Bułgarii, Czechosłowacji, Jugosławii, Rumunii, Węgier oraz twórczości rosyjskiej i ukraińskiej. W Kongresie weźmie udział również NRD, której przedstawiciele przygotowują materiały na temat elementów słowiańskich w muzyce niemieckiej.

W czasie 8 dni Festiwalu odbędzie się 15 koncertów i wygłoszonych zostanie 21 referatów. Programy koncertów wypełnią utwory skomponowane przez twórców od X wieku po wiek XVIII. Muzyka będzie jakoby uzupełnieniem materiałów kongresowych. Czyni się starania, aby utwory wykonywane były w sposób jak najbardziej oryginalny, w duchu epoki, w której powstały. Wykonawcami będzie 15 zespołów instrumentalnych i wokalnych (w tym 6 polskich) oraz soliści wokaliści i instrumentalni, recytatorzy i dyrygeni.

Koncerty zostaną zorganizowane po południu i wieczorem w salach Filharmonii Pomorskiej w Bydgoszczy, w sali zabytkowego ratusza toruńskiego i w rotundzie romańskiej w Strzelnie.

Kierownikiem naukowym tej wspólnie, bez precedensu imprezy jest jej inicjatorka prof. dr Zofia Lissa, stronę organizacyjną przekazała dyrekcji Filharmonii Pomorskiej.

O rozmachu imprezy może świadczyć i to, że referaty ukazały się drukiem przed sesją w języku oryginalnym i w przekładzie polskim.



TEODORA PUKA — Kierownik Biblioteki Gromadzkiej w Radomyślu.

Z doświadczeń bibliotek szkolnych i pedagogicznych

W ostatnich dniach na półkach księgarskich ukazał się piąty rocznik bardzo pożytecznego wydawnictwa „Z doświadczeń bibliotek szkolnych i pedagogicznych”. Rocznik ten zawiera szereg artykułów i innych prac, które mogą stanowić dużą pomoc dla bibliotekarzy bibliotek szkolnych i pedagogicznych. Wnioskujemy o wywołanie żywej zainteresowania i znaleźć się w rękach tych wszystkich, którzy pragną doskonalić swą pracę pedagogiczną z czytelnikami.

Rocznik składa się z czterech części. Pierwsza z nich obejmuje 8 artykułów pracowników Wydziału Bibliotek Szkolnych i Pedagogicznych Ministerstwa Oświaty, naukowców i bibliotekarzy praktyków. Artykuły te zawierają wiele cennych wskazówek do pracy pedagogicznej z czytelnikami w wyżej wymienionych bibliotekach. Naczelnik Ministerstwa Oświaty, Emilia Białkowska omawia w pierwszym z nich zadania bibliotek szkolnych i pedagogicznych w świetle reformy szkolnej i XIII Plenum KC PZPR. Uzupelnienie tego artykułu stanowią dwa następnice, zatytułowane „O unowocześnienie środków i metod pracy bibliotek szkolnych i pedagogicznych” i „Pedagogiczne biblioteki powiatowe w obliczu reformy szkolnej”. Następne 4 artykuły poświęcono bibliotekom szkolnym, planowa-

niu w nich pracy i organizacji czytelnictwa. Dział artykułów zamyka obszerna informacja o encyklopediach dla dzieci i młodzieży.

Drugi dział rocznika — „Z doświadczeń bibliotek szkolnych” — zawiera 15 prac nauczycieli różnych typów szkół, prowadzących biblioteki. Autorzy tych prac dzielą się tutaj z czytelnikami swymi doświadczeniami w pracy bibliotecznej. Doświadczenia te obejmują biblioteki szkół podstawowych, średnich ogólnokształcących i zawodowych, zakładów kształcenia nauczycieli. Dotyczą zarówno prac organizacyjnych, planowania pracy pedagogicznej z czytelnikami, jak również metod pracy z czytelnikiem indywidualnym i zbiorowym. Nie brak tutaj również opisanych doświadczeń i osiągnięć na odcinku współpracy biblioteki szkolnej z Gronem pedagogicznym.

Skromniejszą ilość prac zawiera dział trzeci, zatytułowany „Z doświadczeń bibliotek pedagogicznych”. Czytelników naszego województwa może zainteresować w tym dziale obszerny artykuł o Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Rzeszowie w latach 1945—1963, a także dwa pozostałe artykuły o rozwinięciu czytelnictwa nauczycieli poprzez konferencje rejonowe i o służbie audiowizualnej w bibliotekach pedagogicznych.

Należy żałować, że rocznik „Z doświadczeń bibliotek szkolnych i pedagogicznych” ukazał się w małym nakładzie (5000 egz.), co z góry przekreśla możliwość zakupienia go do wszystkich bibliotek szkolnych. Przydałby się w przyszłości większy nakład tego rocznika, jako pożytecznej lektury metodycznej dla bibliotekarzy szkolnych.

FRANCISZEK ŚWIDER

Jubileusz M. Szolochowa

W maju miliony czytelników złożą hołd Michałowi Szolochowowi, najwybitniejszemu z żyjących powieściopisarzy radzieckich, laureatowi Nagrody Leninowskiej, członkowi Akademii Nauk ZSRR, który będzie obchodził 60 rocznicę urodzin. Ukazuje się szereg wydawnictw okolicznościowych, nowe nakłady „Cichego Donu” i innych dzieł pisarza.

Polski film dokumentalny w 1965 roku

O planach twórczych naszych dokumentalistów rozmawiamy z kierownikiem artystycznym warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych Jerzym Bossakiem.

— 20-lecie Polski Ludowej określiło charakter naszego filmu dokumentalnego w roku jubileuszowym. Niektóre z tych filmów jubileuszowych przechodzą „poślizgiem” na rok 1965. Mam na myśli takie pozycje, jak „Szczecin” (reż. Jerzego Kadena) i „Białystok” (reż. Bohdana Tuszyńskiego) — monografie dokumentalne dwu miast, które w okresie 20-lecia zupełnie zmieniły swoje oblicze.

Do tej grupy należą również filmy Kazimierza Karabasza „Na progu” i „Urodzeni 1944” — stanowiące próby dokumentacji roczników urodzonych w latach powojennych. Trzeba tu wreszcie wymienić także zaplanowany na br. film o Warszawie, przygotowywany przez Jana Łomnickiego.

W naszych nowych filmach będziemy się starali za pomocą doświadczeń nam środków nadal penetrować rozmaite środowiska.

Chodzi nam o coś w rodzaju „portretów zbiorowych”, które złożą się na pejzaż społeczny współczesnej Polski. Do tej kategorii zaliczyłbym właśnie wspomniane filmy Karabasza.

Interesują nas także filmy o charakterze interwencyjnym, tzn. takie, w których ukazywać będziemy pozytywne i negatywne sprawy dnia dzisiejszego, wymagające mobilizacji społecznej energii i opinii.

I wreszcie filmy o charakterze historycznym. Bliższa i dalsza przeszłość, którą od lat dokumentujemy tysiącami metrów zdjęć, powinna stać się tematem interesujących i ważkich filmów. Chodzi nam nie tyle o obserwację ile o interpretację życia, a więc twórczość jak najbardziej zaangażowaną.

W tym roku powstanie w WFD około 50 filmów dokumentalnych. A oto inne pozycje, które obok wymienionych już znajdują się w końcowym stadium produkcji. Da-

Zdarzenia tygodnia

W dniu 30 stycznia 1965 r. w WDK w Rzeszowie odbyły się wojewódzkie eliminacje XI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego w kategorii amatorów i studentów.

W kategorii młodzieży akademickiej (5 uczestników) I nagrody nie przyznano, II uzyskała Irena Ręczkowska — słuchaczka SN w Krośnie. Wyróżniono Stefana Domagałę z WSP w Rzeszowie i Annę Bilas z Przemysła.

W kategorii amatorów (13 uczestników) I nagrodę otrzymał Stanisław Guzek z Rzeszowa, dwie II ex aequo Irena Tućka z Przemysła i Celina Heller z Rzeszowa (a nie jak podaliśmy w „Nowinach Rzeszowskich” z dnia 2 lutego br. — III), III nagrodę uzyskał Mirosław Buczyński z Sanoka. Przyznano także 5 wyróżnień, a mianowicie: Ewie Duraczynskiej, Janowi Winiarskiemu, Danucie Smoleń, Zdzisławowi Romanukowi i Janowi Aabowi.

Występem recytatorów przysłuchiwał się poeta Julian Przybós.

We Wzdowie odbyło się ogólnopolskie seminarium dyrektorów i pracowników pedagogicznych uniwersytetów ludowych, poświęcone omówieniu programu szkolenia organizatorów życia kulturalno-oświatowego w klubach wiejskich.

Należy tu podkreślić, że UL we Wzdowie pierwszy w kraju podjął tego rodzaju inicjatywę. Z jego doświadczeń będą korzystały wszystkie UL w kraju, operując się o program szkolenia, realizowany przez tę placówkę.

29 ubm. spotkali się przedstawiciele Prezydium WRN z Krakowa i Rzeszowa, w celu podsumowania wyników wymiany doświadczeń między grupą pracowników Wydziałów Kultury.

Przedstawiciele Krakowa zapoznali się poprzednio z formami pracy kulturalno-oświatowej w pow. kolbuszowskim i w Rzeszowie, a grupa rzeszowska odwiedziła Nowy Sącz, Dąbrowę Tarnowską i Tarnów. Podczas spotkania postanowiono w dalszym ciągu prowadzić tę korzystną dla obu stron współpracę.

2 lutego w salach Muzeum Okręgowego w Rzeszowie otwarto wystawę malarstwa, rzeźby i grafiki pt.: „30 lat Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w twórczości plastycznej”, zorganizowaną przez Wydział Kultury Prez. WRN w Rzeszowie i Biuro Wystaw Artystycznych.

Na wystawie zgromadzono ponad 70 prac znanych artystów plastyków, a m. in. J. Dziedzieliczewa, Z. Kusek-Kud, E. Kieflerlinga, C. Kotowicza, J. Maternickiego, Z. Krygowskiego i in.

Odbyło się wspólne posiedzenie Prezydium Zarządu Wojewódzkiego ZMW i Zarządu Oddziału Związku Teatrów Amatorskich, poświęcone sprawom rozwoju amatorskiego ruchu teatralnego w woj. rzeszowskim.

W wyniku dyskusji podjęto wnioski zmierzające do organizowania i popularyzacji małych form teatralnych, organizowania powiatowych scen amatorskich, szerzej popularyzacji i udziału wiejskich zespołów w konkursie „Wies biżej teatru”.

Teatr Żywego Słowa „Meluzyna” ZDK WSK w Rzeszowie weźmie udział w festiwalu poezji Władysława Broniewskiego, zorganizowanym przez działaczy kulturalno-oświatowych Płocka. Zespół wystąpi w Płocku 7 bm. z „Komuną paryską”.

W Stalowej Woli odbył się pierwszy z cyklu poranków artystycznych dla młodzieży w wykonaniu szkolnych zespołów. Organizatorzy zamierzają poprzez wymianę doświadczeń ożywić ruch artystyczny wśród dzieci i młodzieży tego miasta.

Powstały niedawno w Przemyslu Klub Międzynarodowej Prasy i Książki prowadzi już ożywioną działalność. Ostatnio odbyło się tam spotkanie ze Stefanem Wiechem — popularnym „Wiechem”, który mówił o swej pracy twórczej i odczytał kilka swych felietonów.

Zespół estradowy ZDK WSK w Rzeszowie wystąpił z programem „Nie odpowiadać”, uzupełnionym tańcami, zespołem wokalnym „Koncynki” w Zakładowym Domu Kultury Zakładów Azotowych w Tarnowie. Była to rewizyta, gdyż zespół z Tarnowa gościł poprzednio w Rzeszowie. Obie imprezy odbyły się z inicjatywy redakcji gazet zakładowych: „Wiadomości Fabryczne” WSK w Rzeszowie i „Tarnowskie Azoty”.